

Cena ropy naftowej skoczyła ostatnio do poziomu najwyższego od dwóch i pół roku w związku z obawami przed tym, że przemoc w Libii mogłaby doprowadzić do zakłóceń dostaw. Libia, będąca dopiero ósmym pod względem wielkości produkcji członkiem OPEC, w styczniu wytwarzała 1,6 mln baryłek ropy dziennie.

Taki niedobór może zostać z łatwością nadrobiony przez pozostałych członków OPEC, których rezerwy mocy wytwórczych szacuje się obecnie na 4 – 5 milionów baryłek dziennie.

Prawdziwą przyczyną obecnego skoku cen jest jednak ryzyko rozprzestrzenienia się niepokojów na inne kraje Środkowego Wschodu, a zwłaszcza na Arabię Saudyjską, która obecnie dysponuje większością nadwyżek mocy produkcyjnych.

Ropa WTO podrożała od piątku o ponad 9%, nadrabiając przy okazji część spreadu, który dzielił ją od gatunku Brent. Ciąg dalszy wzrostów cen mógłby dodatkowo zwiększyć presję inflacyjną i zaważyć na globalnym ożywieniu gospodarczym – tymczasem wczoraj dość poważnie ucierpiały rynki akcji. Przeciętna cena benzyny w Stanach Zjednoczonych osiągnęła wczoraj 3,17 dolara za galon, co stanowiło poziom niewidziany od października 2008 r. – był to również poziom jedynie około 2,5% niższy od przeciętnego poziomu w 2008 r., a jak wiemy, droga ropa okazała się wówczas jednym z czynników, który przyspieszył recesję.

Tymczasem w Europie ropa Brent nadal drożeje, powodując zarówno wzrost awersji do ryzyka, który z kolei przekłada się na umacnianie się dolara – drożeje euro, przez które drożeje Brent, i tak dalej. Wczoraj to błędne koło doprowadziło do poziomu 108,57 za baryłkę Brentu, a poziom 110 bynajmniej nie wydaje się wykluczony. Na czołówki gazet ma jednak szansę trafić stanowiący najważniejszy światowy benchmark gatunek WTI, o ile tylko uda mu się dotrzeć do poziomu 100 dolarów. Wczoraj ropa WTI notowana była po 98,48 USD, czyli do krytycznego poziomu brakowało jej naprawdę niedużo.

Ole Sloth Hansen, starszy analityk rynków towarowych